Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 18.

dnia 3. Kwietnia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XIII.

BIEDNY!

Garbus przyszedłszy do swego mieszkania, usiadł na stołku obok łóżka i głowę wsparł na dłoni.

Cały jego apartament składał się z jednej tylko izdebki, której małe okienko na ogród wychodziło. Podłogę zjadł tu do połowy grzyb drzewny; ściany od niepamiętnych czasów nie były bielone; piec w kącie stojący miał duże plamy z gliny, którą go kilkakrotnie naprawiano. Zdaje się jednak że naprawianie było zbyteczne, w izdebce bowiem mimo obecności pieca, nawet w lecie nigdy ciepło nie było. Cóż dopiero mówić o zimie!

Pochodziło to z tąd, że okienko na północ było zwrócone, że jedna ściana ze stajnią końską sąsiadując, zawsze była wilgotna, że przez dach z dawien dawna nienaprawiony, w zimie śnieg padał w lecie zaś z deszczów woda się lała. Skutkiem tego powała w kilku miejscach tak przemokła, że podczas słoty trzeba było ustawiać w pokoju naczynia, by wodę łapać.

Jaki apartament, takie i jego umeblowanie Łóżko z ubożuchną pościelą, kilka krzeseł, stół z nogami połamanemi, na nim przybory do pisania, kilka książek i dzienników, w rogu komódka na suknie i bieliznę, a obok pieca dwie pary starych butów, oto cały majątek i zbytek mieszkańca tej izdebki. I żył sam jeden jak palec, bo tylko raz na dzień zjawiał się Jan u niego, żeby mu buty i suknie wyczyścić, a drugi znowu raz w południe przynosiła mu żona Jana skromny objadek. Kawę rano, a herbatę wieczór, sam sobie robił.

Gdyby ludzie, przez naturę tak okropnie jak Henryk upośledzeni, inną mieli duszę niż ci, którzy hardo głowę do góry podnoszą, to w takim razie nasz garbus wiedząc jak jest brzydkim, zamknąwszy się w sobie, żyłby życiem wewnętrznem, niczego od ludzi nie żądając... Tymczasem natura, jakby umyślnie w zamiarze zwiększenia niedoli tych istot, obok brzydoty cielesnej, daje im prawie zawsze duszę rozmarzoną, i serce gorące, ktore pragnie kochać i nawzajem żąda miłości. Nie jest że to losu ironja?

Zbyt jeszcze mało znamy Henryka Dobrzyńskiego, byśmy o jego duszy mogli wyrokować. Czy była zdolną do rzeczy wzniosłych i szlachetnych, czy też do poziomych i nikczemnych, tego dotąd nie wiemy. Wszakże zdaje się, że jedną właściwość jego charakteru, jużeśmy dostatecznie poznali, mianowicie nadzwyczajną jego słabość. Pamiętamy jak w rozmowie z Ryszardem o Sternie się wyrażał, a mimo to ani myślał go porzucić. Co więcej, gdy go sam Stern chciał oddalić, zniżył się do prośby i przyjął warunki, które go upokarzały. Niech jednak biednemu nikt się nie dziwi! Widząc się na świecie opuszczonym, bez krewnych i przyjaciół, a znalazłszy na drodze życia istotę, którą pierwszą i namiętną ukochał miłością, był teraz zdolnym dla tego uczucia poświęcić się bezwarunkowo, po kobiecemu. Wiedząc czego mu natura poskąpiła, chciał brak piękna zewnętrznego zastąpić poświęceniem bez granic, do jakiego w miłości mężczyźni najczęściej nie są zdolni. I prawdę powiedział, że dla Róży gotów

był wyrzec się nawet ojczyzny i wiary, boć uczucie, które miał dla niej, tak było w nim potężne, tak go całego ogarnęło, że po za niem szczęścia dla siebie nie widział, a on bodaj na chwilę przed śmiercią pragnął być szczęśliwym! Tak spragniony na pustyni odda wszystko za kroplę wody, choćby nawet wiedział, że w chwili gdy pragnienie zaspokoi, zginie!

Miłość zatrzymywała go w tych stronach, dla miłości służył człowiekowi, którym gardził, dla miłości mógł się nawet spodlić, boć ona była jedynym jego życia motorem.

To, że go Rózia nie kocha, wiedział oddawna, ale miłość jest tak ślepa, że do ostatniej chwili łudzić się nie przestaje. To też łudził się i on, zwłaszcza że w charakterze pięknej dziewicy dostrzegł przymioty i kierunki, kłócące się głośno z pojęciami żydowskiemi. Wychowana na pensji wśród młodzi chrześcijańskiej, lgnęła więcej ku wszystkiemu co nie żydowskie, i to garbus podpatrzywszy, usiłował na swoją korzyść wyzyskać. Nie jestem pięknym, często sobie powtarzał, ale należę do chrześcijan, których ona wyżej ceni niż żydów... Pochodzenie więc moje to uzupełni, czego mi natura poskąpiła.

Tak myślał niegdyś, póki jej nie zobaczył w towarzystwie Ryszarda. Wtedy bielmo z oczu mu spadło, odtąd zaczął drzeć w duszy. Bo oto znalazła sobie także chrześcijanina i o ile od niego piękniejszego! Chodził, podsłuchiwał, szpiegował, żeby choć coś z ich rozmowy zasłyszeć. Nie raz i nie dwa chwytał zdania urywane, które mu nie wiele powiedziały. Dopiero ową scenę na kładce uznał za wymowniejszą, ale najbardziej wymownemi były jej łzy dzisiejsze. Kiedy usłyszał jego odpowiedź, niby to grzeczną i dowcipną, a jednak tak okropną dla Róży, najróżnorodniejsze uczucia w piersi mu zakipiały. Radość, litość, ból i nienawiść, wszystko się w niej razem zmięszało. Był uradowany, że Ryszard tak stanowczo ją odtrącił; litował się nad biedną dziewczyną i razem z nią cierpiał, wreszcie zaczął Ryszarda nienawidzić, nie tylko dla tego, że mu wszedł w drogę i szczęście zabierał, lecz może jeszcze bardziej za to, że tę, którą on tak gorąco ukochał, i za ideał uważał, od siebie odtrącił i zranił boleśnie. Biedny kaleka! chciał żeby Ryszard jej nie kochał, a nie chciał, żeby ona dowiedziawszy się o tem płakała.

Biedny kaleka! Jakież sprzeczności leżały na dnie jego charakteru.

Siedząc teraz na dłoni wsparty, myślał nie tyle o Róży co o Ryszardzie. Na co tego człowieka spotkał po tylu latach niewidzenia, a spotkawszy, czemu dał unieść się pierwszemu wrażeniu i pozwolił mu nawiązać stosunki dawniejsze, koleżańskie? Czyż nie byłoby stokroć lepiej dla niego, gdyby go był Ryszard nie witał tak serdecznie? Wtedy nie miałby dlań żadnych obowiązków, i jako na człowieku całkiem obcym, mógłby mścić się krwawo! Dziś niestety w obec kolegi, który idąc z nim do kładki, tak przyjacielską robił mu ongi propozycję, był bezsilnym...

— Przenigdy! — nagle zawołał, z krzesła się zrywając — ja mu tego nie przebaczę, bo mu przebaczyć nie mogę! Serdeczność, z jaką mnie wtedy u siebie przyjął, była udaną, uśmiech na jego twarzy był zdradziecki, uścisk dłoni, gdy mnie żegnał, był obłudny... Kiedy jemu się zdaje, że mu wolno ją i mnie powoli zabijać, toć i ja mogę jego zamordować!

Straszny ten okrzyk rozległ się po pustym pokoju. Z przerażeniem w koło się obejrzał; przestraszył się słów własnych. Jakiś czas stał na środku izby machinalnie wodząc oczyma za małą żabką, która wydostawszy się z pod podłogi, w krótkich podskokach ku drzwiom zdążała, gdzie widać było dzbanek z wodą na misce zielonej.

Bezsilny padł na łóżko z jękiem:

— Boże! czemu mi żyć każesz?

W odrętwieniu, w którem nic nie czuł, leżał kilka godzin. Przez cały ten czas ani głowy nie podniósł, ani się nie ruszył. Tymczasem słońce dawno zaszło i nad ziemią grube zmierzchy spoczęły.

Przypominał sobie przeszłość.

Widział się na rękach kobiety pięknej, młodej i smutnej, a po pokoju biegał mężczyzna o minie zawadjackiej i gromkim głosem na żonę się gniewał, że po całych dniach chorem dzieckiem zajęta, dała mu na objad rosół przydymiony i mięso twarde. Kobieta zamiast się tłumaczyć, przyciskała dziecię do łona i w oczy mu patrząc żałośnie pytała:

— Synu mój biedny, będziesz ty kiedy szczęśliwy?

Jak sen rozpłynęły się obie te postaci i po nich zapamiętał tylko migotanie płomyków świec

woskowych, długi pochód ludzi z głowami zwieszonemi i żałobny huk dzwonów...

Teraz widział się w rozmaitych domach i u różnych ludzi; nigdzie jednak dobrze mu nie było, i nikt go tak do piersi nie przyciskał jak owa pierwsza kobieta. Z łaski dawano mu pożywienie, z miłosierdzia rzucił ten i ów jaką suknię starą, żeby miał się czem uchronić od skwaru lub zimna. Już wtedy uczono go ludzi bać się i nienawidzieć, zewsząd bowiem słyszał wołania:

— Skaranie boskie z tym garbusem!... Na co nam było tej kaleki!... Że też Bóg miłosierny nie może tego zabrać do swojej chwały! Ludzie zdrowi umierają, a to żyje nie wiedzieć na co! Ustąp się garbusie, bo jak cię kopnę, to pod piec zalecisz!

On drżał, słuchał, ustępował się, i mimo że mu wszyscy śmierci życzyli, odrósł jakoś od ziemi. W szkołach uczył się pilnie, chociaż na poddaszu mieszkając dygotał z zimna i głodu, i mimo że wszyscy koledzy z wyjątkiem Ryszarda i Juljana złośliwie mu urągali, szkół nie porzucił, bo chciał zostać człowiekiem.

Gdy Ryszard w pamięci mu stanął, przez usta gorączką spalone wyrwały mu się słowa:

— On już wtedy był obłudnikiem... On tego nie robił z dobrego serca!

Ukończył szkoły, a potem jak wiemy, zniechęcono go do dalszej karjery. Porzucił więc uniwersytet i jako nauczyciel prywatny zaczął w pensjonatach udzielać nauki historji i literatury. Dopiero teraz trochę odetchnął! Dziewczątka, jakkolwiek młode i roztrzepane, kierując się wrodzonym instynktem kobiecym, który z kalek szydzić nie pozwala, cierpiącym zaś nakazuje nieść pomoc i słowa pociechy, nie tylko życia mu nie zatruwały, przeciwnie każda z nich nawet starała mu się sprawić jakąś przyjemność. Te dawały mu w lecie bukieciki, tamte nauczyły się na jego imieniny pięknych wierszyków, inne znowu zrobiły mu na kanwie ładną czapeczkę. Między niemi była wszakże jedna, która najtkliwszem spoglądała nań okiem, która mu nigdy przykrego słowa nie powiedziała, która najgłębiej współczuła jego niedolę.

Była to Róża...

Przez wdzięczność za jej dobroć, on też najchętniej ku niej się zwracał, i ani postrzegł, jak zwolna w jego sercu zaczęło rodzić się uczucie dotąd mu obce, które z czasem miało go całkiem pochłonąć.

Pewnego dnia usłyszał od przełożonej pensjonatu, że za kilka tygodni Rózia do domu na zawsze odjedzie. Ta na pozór obojętna dlań wiadomość, omało go zmysłów nie pozbawiła. Na szczęście ojciec pięknej dziewicy, przyjechawszy po córkę, udał się z prośbą do przełożonej pensjonatu, żeby mu znalazła jakiego przyzwoitego człowieka na sekretarza. Henryk z uniesieniem przyjął ofiarowane sobie miejsce i ani się wzdrygnął na myśl, że służyć będzie żydowi... Wszak miał być przy niej i to mu wystarczało.

Był więc teraz przy niej, lecz jakie tego następstwa?...

Powstał z łóżka, przybiegł do okna i szybko je otworzył. Potrzebował świeżego powietrza; w izdebce było mu duszno. Pierwsze ciemności z nad ziemi pierzchały, bo oto księżyc na nowiu wychylał się z poza Ludaczowa i jego blade światło czepiało się już dachu kościoła. Zdawało mu się że słyszy jakieś tony. Wytężył słuch. Tony robiły się coraz wyraźniejsze, w końcu rozlały się szeroką harmonji falą. Był to Chopina „Marsz żałobny.“

— Smutna jej dusza! — szepnął.

Byłby tak stał do rana, lecz w tem tony się urwały, poczem zabrzmiał ochrypły głos pani Sary Stern, gniewającej się na córkę, że gra rzeczy smutne i nieznośne.

Stał jeszcze chwilę, napróżno dalszego ciągu muzyki czekając; wreszcie okno zamknąwszy, wziął kapelusz, laskę sękatą, która przy drzwiach stała, i ostrożnie, jakby w obawie, żeby go kto nie zobaczył, wymknął się z mieszkania. Nie poszedł przez podwórze, tylko ścieżką przez ogród.

W kilka minut był we wsi. Nie szedł środkiem drogi, lecz tą stroną, kędy wierzby karłowate gruby cień rzucały. Na drodze było pusto. Żadnego turkotu, nigdzie żywej duszy. W chatach przy bladem świetle z lampek naftowych, siedzieli wieśniacy kurząc fajki na krótkich cybuchach, parobcy i dziewki zamykali obory i chlewy, nawet psy szły spać na słomę. Tylko złośliwsze między niemi wybiegały na drogę; widząc tu jednak postać potworną z sękatym kijem w ręku, uciekały za płoty wziąwszy ogon pod siebie, i dopiero tak zabezpieczone ujadały zajadle.

Garbusa często noc głucha widziała na tej drodze. Odkąd samotny mieszkaniec Ekonomówki pierwszy raz pozdrowił go w imię Boga, zachodził w tamte strony; z początku zdaleka, później co raz więcej się zbliżając. Dłuższy czas nie rozmawiali z sobą; później wcale się nawet nie widzieli, nieznajomy bowiem kilka tygodni w łóżku przeleżał. Dopiero w ostatnich dniach ujrzawszy znowu garbusa niedaleko swego domu, pozdrowił go uprzejmie i do siebie zaprosił.

Przyszedł i wszczął rozmowę obojętną; nieznajomy ani swego nazwiska nie wymienił, ani o jego nie pytał. Garbus chciał się coś dowiedzieć, wybadać, lecz mu się nie udawało. Co do nieznajomego, ten tak samo postępował. I on chciał coś usłyszeć od swojego gościa, wszelako garbus odpłacając mu pięknem za nadobne, zbywał go także niczem. Komiczna ta gra w ślepą babkę powtarzała się za każdą bytnością garbusa na Ekonomówce. Dla niego była ona przynajmniej o tyle korzystną, że ilekroć nie mógł Ryszarda i Rózi śledzić z po za płotu przy kładce, wieczorem dowiadywał się od nieznajomego, czy młodzi ludzie widzieli się na Ekonomówce.

Minąwszy wieś, kładkę i drogę, sekretarz Sterna wszedł teraz przez otwartą furtę do ogrodu, zbliżył się do okna, przez które widać było światło w pokoju, i lekko zapukał. Po chwili drzwi od sieni ktoś otworzył. Był to sam gospodarz.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!

— Co słychać dziś u pana, jak tam zdrowie?

— Moje zdrowie dzięki Bogu znacznie się poprawiło, ale za to moja biedna Krystyna umierająca.

— Rzeczywiście?

— Niestety! I to przez okropny przypadek.

Tu opowiedział gościowi szczegółowo całe zdarzenie z zamianą lekarstw, poczem tak kończył:

— Biedny konsyljarz okropnie się tem zmartwił. Prawie cały dzień przy chorej przesiedział, dopiero przed pół godziną ztąd wyszedł, lecz o ile mogłem mu z twarzy wyczytać, sam nie ma nadziei.

O tem, że Ryszard cierpi, garbus dowiedział się z prawdziwem zadowoleniem. Więc i jego coś zabolało, więc i ten piękny młodzian, który tak hardo głowę nosi do góry, jakby świat cały do niego należał, który do wszystkich słodko się uśmiecha, czem chce zapewne cierpieniu innych urągać, więc nareszcie i on poznał co to życia gorycz!

Gospodarz zaprowadził gościa do pokoju. Usiedli jak zwykle przy stole, zasłoniwszy wpierw okna firankami i rozmawiać zaczęli. Rozmowa była podobniusieńką do ostatniej. Mówili o powietrzu, o epidemji i polityce, która mieszkańca Ekonomówki w wysokim stopniu zajmowała. Gdy temat się wyczerpał, obadwa umilkli. Nareszcie garbus podnosząc szybko głowę, nagle zapytał:

— Powiedz mi pan otwarcie, znasz Sterna?

Nieznajomemu twarz lekko się rozjaśniła, jakby mu ciężar spadł z serca. Prędko jednak znowu spoważniał i odpowiedział:

— Sterna? Nie, nie znam.

— Zdawało mi się, że ongi pod kaplicą, kiedy to pierwszy raz miałem przyjemność pana widzieć, przypatrywałeś mu się bardzo uważnie.

— Rzeczywiście? Wcale sobie tego nie przypominam.

Obadwa umilkli.

— A może Stern mnie zna? — gospodarz teraz tak samo nagle zapytał, jak przed chwilą gość jego.

Garbus bystro mu w oczy spojrzał i odparł:

— Nie wiem... dotąd go o to nie pytałem.

Nieznajomy uśmiechnął się nieznacznie.

Nowe milczenie.

— Zechciej mi pan powiedzieć, jakiego rodzaju człowiekiem jest ten Stern? — gospodarz znowu podchwycił.

Na to zapytanie gość machnął ręką pogardliwie. Musiał ten ruch podobać się gospodarzowi, skoro później, za garbusem drzwi zamykając, myślał sobie w duchu:

— Przecie zaczął o nim mówić... Ja nie mogłem pierwszy się wyrywać, gdyż mógł się spłoszyć i nic nie powiedzieć... Z ruchu jego ręki dowiedziałem się także, że go nie lubi, może nawet nienawidzi.. Widocznie wtedy, gdy szedł z młodym Gozdawą, także o nim mówił... Teraz zadanie będzie ułatwione... Tylko cierpliwości!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W chwili skonu.

POWIEŚĆ FRANCUSKA Z XVII. WIEKU.

(Ciąg dalszy.)

II.

Nazajutrz z rana, Jakób Loubet pojawił się w pałacu pierwszego prezydenta. Był on pełnomocnikiem margrabiny, i tym tytułem miał łatwiejszy przystęp do niej niż reszta młodzieży, którzy, tak stan wojskowy, jak i cywilny widywali ją jedynie w dni ceremonialnego przyjęcia całego miasta Aix. W domu prezydenta, panowały obyczaje nader surowe. Duma niesłychana, trzymała wszystkich w przyzwoitem oddaleniu; maniery zimne i sztywne, zachowywano nawet w kółku najściślejszem ogniska domowego.

Nigdy pierwszy prezydent nie powitał inaczej swojej synowej, tylko niskim, dworskim ukłonem; nigdy ona nie śmiała uwolnić się od powinności odprowadzenia teścia aż do przedpokoju, skoro raczył ją odwidzieć.

Życie tej młodej kobiety upływało z zabijającą jednostajnością; wśród mnóstwa drobjazgowych powinności, aż do dnia jej owdowienia. Oszańcowano ją wałem potrójnym, dewocji, wielkości i etykiety; nikogo do niej — jak już wspomnieliśmy — nie dopuszczając. Powszechnie wiedziano, że mąż czynił ją bardzo nieszczęśliwą, że go wcale nie kochała; dotąd jednak jej reputacji nietknął się choćby najlżejszy cień posądzenia, tak wielką była ostrożność, z jaką starano się ją odosobnić od reszty świata i usunąć z jej drogi wszelką pokusę i niebezpieczeństwo. Co do pana Loubet, ten stał o tyle niżej w hierarchji społecznej od margrabiny, iż na niego najmniejszej uwagi nie zwrócono.

Kondukt pogrzebowy margrabiego d'Argevilliers zapełniał plac, na którym przed kilkoma jeszcze godzinami tak zacięta walka się toczyła. Czysto go umieciono. Zamiast krzyków wesołych i hałaśliwych, rozbrzmiewał teraz smutnym i przeciągłym śpiewem księży i chórów bractw rozmaitych, a czarne chorągwie powiewały uroczyście i ponuro, tak na pałacu prezydenta, jak i na wielu domach prywatnych.

Adwokat szedł w nadziei, ze choć na chwilę zobaczy margrabinę. Miotał nim straszliwy niepokój, co się też z nią dzieje, po wczorajszej wyprawie? Drżał, myślał o ranie, której widział krwawe ślady na jej ramieniu.

W wielkiej sali pałacu, zgromadziła się cała arystokracja, tak miejska jak i okoliczna. Jakób stał w przedpokoju nie wiedząc czy wejść, czy też czekać, by go ktoś margrabinie zapowiedział.

— Czy masz jaki interes panie Loubet? — zagadnęła go jedna ze służebnych margrabiny, wychodząc z tejże pokoi.

— Chciałem jedynie spytać o zdrowie margrabiny. Jak że się ma dziś rano?

— Źle, bardzo źle panie Loubet. Nie mogła wcale dźwignąć się z łóżka, i oprócz pana prezydenta, nikt dotąd nie był u niej.

Służebna oglądnęła się w koło, czy jej nikt nie podsłuchuje, potem mówiła dalej głosem przyciszonym:

— Nigdy nie myślałam, żeby śmierć męża tak bardzo dotknęła panią margrabinę. Od wczoraj jest jak szalona.

— Boże miłosierny! A cóż mówi lekarz?

— Nie chce go wcale widzieć. Wczoraj zamknęła się w swojem oratorjum i zakazała nam, byśmy nie śmiały przerywać jej modłów. Panie Jezu! nie wiem jak ona tam wytrzymała sama jedna, z trupem pana margrabiego obok, i słysząc ten śpiew żałośny przez noc całą! My także się nie rozbierały... potrochę modliłyśmy się, a po trochę drzemały po kątach. Raptem, już dobrze po północy, drzwi się otwierają i na progu staje margrabina. Matko najświętsza! gdybyś pan ją był zobaczył w tej chwili... Bledszą była, niż trup tam na katafalku; oczy miała szkliste, straszne; jak nieprzytomne, a gdym ją rozbierała, uczułam że cały stanik mokry z przodu od łez, jakby go kto umaczał.

— Prócz ciężkiej żałości, nic jednak więcej nie brakuje pani margrabinie?

— Czyż tego nie dosyć? Jeśliby tak dłużej trwało — wkrótce połączyła by się z panem margrabią. Czuwałam całą noc przy jej łóżku. Więcej wprawdzie nie płakała, lecz co chwila kurcze ją napadały, jak struna się prężyła, wydając krzyki i jęki bolesne, jakby ją jakaś straszna zmora trapiła. O drugiej godzinie, zaczęła wołać że się boi, i kazała wszystkie świece pozapalać. Zrobiło się jasno w jej sypialni, jakby już chroń Boże! i ona nie na łóżku, lecz na katafalku spoczywała. Wreszcie gdy się dzień zrobił, pogasiłyśmy światła, otworzyły okno do ogrodu i pani margrabina zaczęła usypiać. Myślałam że trochę się wzmocni i odpocznie; na nieszczęście, wcześnie zrana pułk *royal-comtois* przez plac przeciągał. Trąbki zagrały, w bębny uderzono, i pani margrabina nagle zbudzona, zerwała się na równe nogi. Zaczęła krzyczeć okropnie; zbiegłyśmy się wszystkie, i o mało nie pomdlały ze strachu. Pani siedziała na łóżku z oczami w słup, z rękami załamanemi, z włosem rozczochranym. Jezu Chryste! jak ona wyglądała!... Potem upadła na wznak i głośno szlochać zaczęła.

— A odtąd cóż mówi, co robi? — pytał dalej adwokat z boleścią w duszy — Czemuż nie posłałyście po lekarza?

— Mówię panu, że nam to najostrzej zakazała. Teraz zapowiedział pan prezydent, żeby się przygotowała na przyjęcie tych wszystkich gości. Boże! jak ona ten trud wytrzyma! Lecz to rzecz daremna, jak

pan prezydent rozkaz wyda i powie, że tego wymaga etykieta, to tak nieodwołalne, jak gdyby zapadł wyrok parlamentu.

— Wrócę dziś wieczór Joanno, aby zasięgnąć wieści o zdrowiu twojej pani. Pielęgnuj ją tymczasem pilnie i troskliwie.

Mówił te słowa ze łzami w oczach; prędko też wyszedł, by nie zdradzić się ze wzruszeniem, które go opanowywało. Przenikały go uczucia tęskne i rzewne.

— Ona cierpi, płacze! — myślał w duchu. Czemuż ceną krwi mojej, nie mogłem jej oszczędzić wrażeń zabójczych tej nocy fatalnej? To nie sama śmierć męża, tak ją czyni nieszczęśliwą! Miałaby też kogo żałować? A! chociaż ja stoję tak nisko, a on stał tak wysoko; byłbym inaczej pojął tę duszę wyjątkową, byłbym inaczej potrafił ukochać tę cudowną kobietę, którą ten rozpustnik zaniedbywał dla pierwszej lepszej *kurtisany*, a sam wiodąc życie wyuzdane, żonę zamykał i tyranizował jak niewolnicę. O! to moje szczęście, że ona go kochać nie mogła, tego nikczemnika, mimo całej jego wielkości! Jakąż wściekłą zazdrością moje serce by zapałało, gdyby ona kogokolwiek pokochała! Tej nocy czułem pod moją dłonią bicie jej serca z bojaźni... Boże! gdyby ono tak kiedy miłością dla mnie uderzyło.

Gdy wracał do siebie, zobaczył z daleka tłum ludzi różnorodny, otaczający Marjusa, i słuchający z natężoną uwagą, co im tenże kładł na ucho, żywo przytem gestykulując.

Skoro spostrzegli adwokata, wzrok wszystkich na nim się zatrzymał, a Marjus podbiegł ku niemu. Nibyto udawał zafrasowanego, a w oczkach świdrowatych i fałszywych świeciła złośliwa radość, że może upokorzyć adwokata, udzielając mu wiadomości skandalicznej.

— A co nie mówiłem panu! — wystrzelił jak z procy. — Piękna Loubeta dotąd ze schadzki miłośnej nie wróciła do domu! Zabrała się dziś rano z pułkiem, a raczej z bagażami kapitana Lansac'a...

— Jak to, co? — przerwał adwokat, mierząc Marjusa tak groźnem spojrzeniem, że on mimo całej swojej bezczelności, spuścił w dół oczy. — Jeżeli to jest jedno z twoich kłamstw zuchwałych, to strzeż się byś publicznie odszczekał twoją potwarz!

— O! to boli panie Loubet! — Marius uderzył się w piersi pompatycznie. — Tak zapoznawać swojego najlepszego przyjaciela, za jego dobre serce obrzucać go obelgami?! Ja pana szukam od dwóch godzin, by cię przestrzedz, byś się dowiedział, o czem już mówi całe miasto; byś mógł może jeszcze złemu zaradzić, a pan za to...

— Kończ, kończ, puchaczu złowrogi, którego głos zawsze tylko śmierć i nieszczęście zwiastuje — zawołał Jakób drząc z gniewu. — Wiem, że nikt mnie lepiej nie oświeci, gdy o skandal idzie, od ciebie, który każdą taką wiadomość musisz choćby z pod ziemi wydobyć!

— O! nie potrzebowałem się trudzić tak dalece. — Marius odparł ironicznie — fakt jasny jak słońce! Służąca szuka pańskiej kuzynki po całem mieście; była i u nas; opowiada zaś każdemu, kto ją chce słuchać tylko, że jej p a n n a z pewnością z pięknym kapitanem w świat poszła. Oto cała historja!

Adwokat skrzyżował ręce na piersiach.

— Dziękuję za przestrogę, — rzekł tonem szyderskim i jak stal zimnym. — A teraz żegnam cię, panie d o n o s i c i e l u plotek i skandalów.

Wyprostowawszy się dumnie, skinął głową i ku domowi podążył.

Na progu kancelarji powitała go Kasia we łzach tonąca:

— Jakóbie, Jakóbie! — zawołała głosem od łkań przerywanym — ty nie wiesz co tu się u nas dzieje?!...

Spojrzała w jego twarz bladą, a widząc brwi groźnie ściągnięte, i usta bolem drgające; zrozumiała że wie o wszystkiem i nagle umilkła.

— I cóż Kasiu? — uśmiechnął się boleśnie.

— O! to ten niegodziwy plotkarz, Marius Magis! — dziewczę ręce rozpaczliwie załamało. — Wpadł do nas ciebie szukając... spotkał ciocię... zaczął jej mówić o...

— Boże! — jęknął Jakób, za głowę się chwytając — i wszystko jej powiedział. Moja biedna, święta matka, musiała znieść podobne upokorzenie?!

— Nic nie odpowiedziała — dziewczę z płaczem kończyło — tylko głową mu skinęła, i niemym ruchem ręki zuchwalcowi drzwi wskazała. Skoro jednak odszedł, zaczęła mdleć i trzeba ją było na łóżko zanieść. Boże ratuj! Boże zmiłuj się nad nami!

Adwokat chodził niespokojnie po pokoju; Kasia o mur oparta, z rękami jak do modlitwy złożonemi, cicho płakała.

— A gdyby to przecież prawdą niebyło? — wtrąciła nieśmiało. — Ten Marius niegodziwy tyle razy w życiu skłamał! Moja biedna siostra! Może ją tylko niesłusznie spotwarzono?

— Wszystko musi się wkrótce wyjaśnić — odparł Jakób ponuro. — Czy tak, czy inaczej, zakończę tę sprawę i potrafię wykryć prawdę. Ale cóż to za cios dla mojej matki! Szczęście przynajmniej, że ciebie ma przy boku, Aniele mój drogi! — Drżącemi usty dotknął się czoła narzeczonej i poszedł do matki sypialni.

Staruszka leżała blada z oczami przymkniętemi, ciężko oddychając. Na odgłos kroków syna, podniosła zmęczone powieki:

— Jakóbie — cicho mówiła. — Postępki ohydne, tej nieszczęśliwej dziewczyny do grobu mnie wtrącają. Nie złorzeczę jej jednak, ale do ostatniej chwili życia, modlić się za nią nie przestanę, by jej Bóg zesłał opamiętanie. Powiedz jej to, gdy mnie nie stanie, a może skrucha i żal wstąpi w to grzeszne serce.

Obyczaje w owych czasach w rodzinach mieszczańskich, były nader surowe, a sąd opinji publicznej, był nieubłagany, gdy szło choćby o cień najlżejszy, rzucony na cześć i dobrą sławę kobiety.

W rodzinie Loubet, nie jeden kwiat się rozwinął,

nie jedna piękność zajaśniała; Klara jednak była pierwszą, która zerwała z tradycją córek z tego rodu, równie cnotliwych i bogobojnych, jak była nią matka Jerzego i jego anielska narzeczcna. Nie dziw więc, że to nieszczęście, to jej życie aż zanadto lekkie, zgrozą przejmowało całą rodzinę. Nawet stara, wierna Genowefa, ręce łamała, współczując ciężką boleść swoich państwa, i myśląc jak tu się pokazać teraz na miasto, gdzie o niczem nie mówią, tylko o ucieczce pięknej Loubety z kapitanem de Lansac!

Jakób wpatrzył się z boleścią w zbladłą i zmienioną twarz matki, potem ukląkł przy jej łóżku, a całując jej ręce gorąco, rzekł:

— Idę w świat matko za tą niegodziwą! Idę, i albo wcale nie wrócę, albo też ją nazad przyprowadzę. Potem pomyślimy co z nią zrobić.

— Niech cię Bóg prowadzi mój synu — staruszka drżącą ręką nakreśliła krzyż nad jego głową. — Powiedz jej, że żal szczery zmył by jeszcze hańbę, którą okryła nasze dotąd niepokalane nazwisko. Wszak Bóg darował Magdalenie, darował tylu innym grzesznicom, skoro się nawróciły na drogę poprawy i pokuty. Ja jej wszystko odpuszczam, przez wzgląd, że to siostra Kasi, tego cichego anioła, tej świętej dziewicy, która wkrótce twoją żoną zostanie.

Jakób oczy odwrócił od łoża matki; czoło jego spłonęło wstydu rumieńcem. Nieszczęsna namiętność tak dalece nim owładła, że pochłonęła uczucie święte, od którego niegdyś spodziewał się szczęścia życia całego. Kasia była mu prawie obojętną. Zaledwie miał dla niej spokojną przyjaźń brata dla siostry. Przeraził się słowami matki, które mu przypominały obietnicę uczynioną ojcu umierającemu, że nikt inny, tylko Kasia żoną jego zostanie. W tej chwili pragnął by jakiś straszny kataklizm przerwał jednostajność życia jego, które przez kilka już generacji, w jedną i tę samą formę niejako się układało. Pragnął tak namiętnie wolność odzyskać, że gotów był postawić na kartę całą swoją pozycję, życie nawet, byle dopiąć celu.

Uporządkował wszystko, jak gdyby na bardzo długo w drogę się wybierał, i nazajutrz odjechał, nie odwidziwszy więcej margrabiny.

III.

Po owej nieszczęsnej nocy swiętojańskiej, dom Loubet'ów wyglądał jakby niezamieszkały; wszystkie okna były pozamykane, a sąsiedzi daremnie wyglądali pięknej główki Kasi, która niegdyś z robótką w oknie siadywała, wśród klombu oleandrów i drzew pomarańczowych, kwiatem tychże, symbolem dziewictwa, strojąc często jasną główkę niby gwiazdeczkami. Biedne dziewczę nie wychodziło już teraz wcale z domu, w którym tak niedawno kwitło szczęście, a dziś panował smutek ponury.

Jakób nie wracał, i nic o sobie nie donosił; matka jego nikła z dniem każdym, a stara Genowefa zupełnie zdziecinniała. Wlokła się codzień do kancelarji i tam sprzątała automatycznie, a klientom zgłaszającym się odpowiadała, że adwokat poszedł na sądy, zapominając w swojej bezmyślności, że od kilku dni z miasta wyjechał.

Kasia otaczała te dwie staruszki najczulszemi staraniami. Upadając pod ciężarem trosk i boleści w tak krótkim czasie doznanych, szlachetna ta istota, szukała sił, by znieść to wszystko w pełnieniu surowem swoich obowiązków. Znosiła nieszczęście nie zasłużone, z rezygnacyą duszy czułej, a pełnej wiary czystej i niezachwianej. Modliła się nieustannie za swoją siostrę, za Jakóba, budziła się zawsze, z tą błogą nadzieją, że dziś wrócą; z bijącem sercem ich oczekiwała siedząc przy łóżku chorej ciotki, a wieczór nie doczekawszy się nikogo, obchodziła podwórze, spuszczała ciężkie u drzwi wrzeciądze, zasuwała rygle, a do snu się układając, w goracej modlitwie polecała Bogu losy ukochanych, szepcąc: „Jutro ich zobaczę, oby tylko Jakób za późno nie wrócił!“

Ciotka bardziej trwożyła się milczeniem syna. Przewidując jakieś wielkie nieszczęście, ciągle powtarzała.

— Kasiu moja, już ja syna więcej nie zobaczę. Umrę zanim wróci. Kto wie gdzie on poszedł szukać tej nędznicy, kto wie gdzie się obraca?

W dwa tygodnie po Ś. Janie, ciotka na rękach Kasi błogosławiąc jej do ostatniej chwili.... zasnęła snem wiecznym....

Nazajutrz, około północy, Kasia siedziała w pokoju adwokata, w bolesnej zadumie pogrążona. Łzy już wszystkie wypłakała. Cisza głęboka, otaczająca ją w tej chwili, była jej potrzebną.

Sama jedna w tym domu smutnym jak kaplica cmentarna, mogła przynajmniej swobodnie z Bogiem porozmawiać. O! jakże się czuła samotną, opuszczoną! Wtem zlekka do furtki zapukano. Zerwała się na równe nogi. Tak zwykł był tylko Jakób pukać. Był to on istotnie. Kasia o krok się cofnęła; potem odszukując źródło łez na nowo, z głośnym płaczem do piersi się jego przytuliła. Jemu także łzy obfite po licu spływały.

— Kasiu droga — szepnął, w czoło ją całując — jak się me moja matka?

— Oh! — jęknęło dziewczę i nie podnosząc główki od jego piersi, niemym ruchem ręki niebo wskazała.

Zrozumiał!

— Umarła! Umarła! A jam jej nie widział, a mnie przy niej nie było! — krzyknął głosem rozdzierającym i upadł bezwładnie na fotel.

Zapanowało głuche milczenie, przerywane jedynie łkaniem obojga. Weszli do kancelarji, Kasia klęczała przed nim bezwładnie na fotelu siedzącym, trzymając jego ręce w swoich dłoniach. Całowała je i łzami oblewała. W obec tej olbrzymiej boleści, słowa pociechy zamierały na jej ustach. Wreszcie podniosła oczy. Wyraz tej twarzy zczerniałej i wynędzniałej, był tak straszny i ponury, że krew jej się w żyłach ścięła i serce prawie z trwogi niewypowiedzianej bić ustało.

— Tyś był chory Jakóbie? — wyszeptała. — Tak się okropnie zmieniłeś....

— Nie, nie, nic mi nie jest! — potarł ręką czoło.

— A moja siostra? — spytała nieśmiało.

— Marius skłamał jak zwykle — odrzekł głosem suchym urywanym — Nie znalazłem jej u pana de Lansac.

— Dzięki Bogu! — zawołała Kasia, z uczuciem radości. — Przeczuwałam, że to tylko oszczerstwo niegodziwe! Moja biedna siostra.... Lecz i tutaj jej nie ma.... nikt jej przynajmniej odtąd nie widział.... Gdzież ona być może?

Wstał, nie dając jej żadnej odpowiedzi. Powiódł dokoła wzrokiem nieprzytomnym, gorączkowym i tarł czoło, jakby chciał pozbierać myśli rozpierzchłe.

— Kasiu — mówił z wysileniem, zbliżywszy się do młodej dziewczyny — nie znasz jeszcze wszystkich nieszczęść naszych. Jestem w okropnem położeniu, muszę kraj opuścić; idzie o moje życie.... Jutro odjeżdżam.

— Ja z tobą, z tobą!

— Nie Kasiu, to niepodobna! Zbieg ścigany na wszystkie strony, kto zaręczy, że sam się ukryć potrafię.

Stała niema, z rękami załamanemi. Nie rozumiała tych strasznych słów, a nie śmiała zapytać, coby znaczyły.

— Idź spocznij Kasiu — pogłaskał czule jej jasną główkę. — Ja tu zostanę. Potrzebuję całej nocy, by uporządkować moje interesa.

Z płaczem do nóg mu się rzuciła:

— Pozwól mi czuwać przy tobie! Jest coś w twojej twarzy Jakóbie, co mnię strachem przejmuje. Boże! Boże! cóż to się znowu stało? Nic mi nie mówisz! Nie jestem już przecie dzieckiem, dla czegoż nie chcesz mi zaufać?

— Wziął ją za obie ręce:

— O! jak mnie twój żal rani głęboko Kasiu — rzekł cicho — a ja i bez tego jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy!

Otarła prędko oczy, próbowała nawet uśmiechu biedna męczennica, choć serce z bolu pękało na myśl tej nowej rozłąki.

— Kasiu — szepnął słodko przy sobie ją sadzając — mów mi o mojej matce.

Jakaż to noc była! Młode dziewczę siedziało nieme blade, z głową na piersi spuszczoną, z rękami obwisłemi, z sercem zamarłem; adwokat pisał przy biurku, od czasu do czasu łzę ocierając i szepcąc żałośnie:

— O moja matko! moja droga matko!

Gdy dzień się zrobił, wstał, a obejmując Kasię z czułością:

— Na biurku dziecię moje, znajdziesz wszystkie papiery ciebie się tyczące w największym porządku. Testament moich obojga rodziców, którzy nam wspólnie majątek zapisali; i moje zeznanie, że w razie gdybym nie miał wrócić.... ciebie jedynie mianuję moją sukcesorką. Inne akta prawnicy ci wytłumaczą, a oto także adres dokładny, aby twoje listy na pewno rąk moich dochodziły. Teraz droga Kasiu musimy się rozłączyć. Oby cię Bóg uczynił tak szczęśliwą, jak na to zasługujesz i jak ci życzę z serca całego.

Dziewczę nieruchome szeptało słowa modlitwy. Pocałował ją w czoło, przycisnął do piersi raz ostatni i wybiegł na pustą jeszcze ulicę.

— Biedne dziecię! Aniele stróżu domu tego! zostajesz sama jedna! Bóg niech cię strzeże, Bóg niech będzie z tobą!

Z temi słowami na ustach drżących oddalał się coraz bardziej i wkrótce za miastem się ujrzał.

Zostawało mu jeszcze jedno pożegnanie i szedł nań z narażeniem życia. Margrabina przeniosła się od kilku dni do ślicznej willi za miastem, pawilonem nazwanej. Stała na pagórku, który był pokryty lasem świerkowym. U stóp jego płynęła rzeczka, toczące po kamykach fale kryształowe szemrząc z cicha. W ogrodzie grały fontanny, spadając kroplami brylantowemi w marmurowe baseny; flora południowa stroiła to rozkoszne siedlisko, w całą krasę nieporównaną; kwiaty najrozmaitsze, upajały zmysły wonią cudowną, a nęciły oczy świetnemi barwami. Do pałacyku w guście włoskim prowadziła aleja z kasztanów; przed samym domem, stały całe klomby drzew pomarańczowych, granatowych, palm i cyprysów.

Jakób błądził cały ranek po ogrodzie z głową pałającą, rozdrażniony, rozgorączkowany, upadający od trudu i boleści. Koło południa wszedł do domu, jakby go wiodła w te progi jakaś siła niewidzialna.

Margrabina była sama w saloniku okrągłym, którego wszystkie ściany były freskami ozdobione. Story pospuszczane przesiewały jak przez gazę słońca promienie, salonik pływał w półcieniu jakby go lampa alabastrowa oświetlała; alegoryczne figury na ścianach, wynurzały się tu i owdzie z pomroku, jakby jakieś widziadła fantastyczne, gdy padła na którą smuga światła jaśniejsza. Margrabina leżała na aksamitnym szezlongu w szatach żałobnych. Dreszcz nią wstrząsła, gdy jedna z kobiet służebnych przybycie Jakóba zapowiedziała. Podniosła głowę cokolwiek i syknęła przez zęby zaciśnięte:

— Czego on chce odemnie?

Stanął na progu. Widząc go tak bladym i zmienionym, margrabinę ogarnął śmiertelny niepokój. Próbowała jednak uśmiechem pokryć zmięszanie i głosem słabym przemówiła:

— Witaj panie Loubet. Wieki! jak cię nie widziałam.

Zbliżał się powoli drżąc [illegible] całem ciele i odrzekł głucho:

— Jeździłem daleko pani margrabino, bardzo daleko.... Była to podróż fatalna!.... i teraz muszę odjeżdżać.

— Na krótko zapewne? — spytała.

— Na zawsze.... prawdopodobnie!

Wpatrzyła się w niego, uderzona nie tyle słowami,

ile wyrazem twarzy ponurym i wyjąkała coś niezrozumiałego.

— Chciałem cię pani pożegnać — mówił dalej głosem grobowym — chciałem ci sam powiedzieć, to, o czem dowiesz się dziś.... jutro najdalej... Uciekam by się schronić na ziemi obcej, bo miałem pojedynek i zabiłem człowieka.

Margrabina jękła i wzrok od niego odwróciła.

— Powiedzą ci margrabino, że go zabiłem, by pomścić się za schańbienie nazwiska naszego. Pozwolę wszystkim w to uwierzyć, sam nawet będę tę wieść rozgłaszał. Tobie atoli muszę odkryć całą prawdę. Nikczemnik śmiał utrzymywać, że był twoim kochankiem, a ty jego... metresą.... — głos adwokata był do syku węża podobny, gdy z trudnością te słowa wymawiał. — Ja ciebie pani pomściłem!

— Zabiłeś Hektora! Hektor nie żyje! — zerwała się na równe nogi z krzykiem przeraźliwym.

Chwilę trwało milczenie. Chciała jeszcze coś mówić, lecz głos jej uwiązł w piersi ściśnionej, upadła na szezlong, z rękoma we włosy wplecionemi, z pianą na ustach, szalejąca z bolu i rozpaczy.

— Więc on prawdę powiedział?... — Jakób zaśmiał się dziko — Ha! ha! ha! prawdę powiedział!...

Margrabina omdlała. Wpatrywał się w nią czas jakiś okiem szklistem, bezprzytomnem; wreszcie zataczając się jak pijany wyszedł za drzwi. Tu trochę oprzytomniał i jak zwierz dziki, za którym cała sfora psów goni, pomknął szybko ku lasowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Pan de Somery stał na pokładzie okrętu, gdy podróżni przybywali na odgłos dzwonu. Z bijącem sercem badał każdą twarz. Po dwa czy trzy razy pochylił się, aby spojrzeć prawie niegrzecznie pod zawoalowany kapelusz, za co odebrał gniewne spojrzenie, co było dowodem, że się mylił. Opuścił statek dopiero wtenczas, gdy już nie pozwolono nikomu nań wejść, gdy świst maszyny dawał znak do odpłynięcia.

Stanął nad brzegiem i spojrzał rozpaczliwie. Poruszył się, aby znowu wejść na statek, obawiając się, że go opuścił za prędko, i zdecydowany prosić kapitana, by mu pozwolił przepłynąć port. Jeżeli pani de Moranes stoi ukryta gdzie nad brzegiem, w takim razie może odważy się pokazać, nie lękając się już teraz niczyjego oka.

Okręt tak szybko się oddalał, jakby zdobycz jaką unosił. Nie było podobna już się nań dostać.

Pan de Somery miał ochotę wsiąść w jaką łódkę i gonić parowiec. Życzył sobie, aby zaszło coś nadzwyczajnego i powstrzymało ten odjazd. Patrzał chciwie i powtarzał prawie dziecinnie: jeżeli okręt się zatrzyma, to będzie znak, w takim razie jest ona tutaj nad brzegiem.

Statek równo pruł wody i oddalał się; gmachy ulicy stały nieme, jakby były wspólnikami owej ucieczki.

Ale cierpienia niepewności nie mogły długo zajmować pana de Somery, w miarę gdy dym parowca niknął w oddali, nabierał przekonania, że się omylił. Pospieszył się nadto, sądząc, że „Wiktorja" popłynie do Ameryki i to tak otwarcie przez Hawr. Jeżeli pojechała przez Boulogne, czy pan de Rosey będzie poszukiwał dosyć pilnie? Czemu sam nie pozostał w Boulogne i nie pozwolił panu de Rosey jechać do Hawru, skoro ta podróż była bezskuteczną?

Powrócił wolno do hotelu i wysłał depeszę, która potwierdziła to, co telegrafował rano; potem czekał na odpowiedź — zdenerwowany do najwyższego stopnia.

Na co czekał jeszcze? Czego się mógł jeszcze spodziewać? Nie wiedział sam; ale czuł się tak znużonym jak ów więzień, którego już odwaga odstąpiła, gdy widzi, że wszelki opór zbyteczny.

W tej chwili byłby sobie życzył, ażeby go ktoś wyzwał i roztrzaskał mu głowę kulą lub szpadą serce mu przebił.

Jego radość też znikła. Wiktorja odjechała bez jego rady, zostawiając dlań pożegnanie, które mimo całej słodyczy było zawsze ironją. Dwanaście lat religijnego uwielbienia nie zdobyły mu prawa jechania z nią lub dogonienia jej, a teraz nie mógł nawet zdobyć się na ów heroizm, o którym marzył. Całe jego życie rozwiewało się jak owa para nad okrętem, nie zostawiając nawet obłoczka pomiędzy temi dwoma nieskończonościami niebem i morzem.

Gdy w takich myślach pogrążony siedział w pokoju hotelowym, przyniesiono mu telegram od pana de Rosey; była to odpowiedź. Sędzia nic nie odkrył w Boulogne, ale dzielił się z przypuszczeniem, które robił:

„Zapewne zapragnęła jeszcze po raz ostatni zobaczyć dzieci przed swym odjazdem".

Pan de Somery zerwał się, jakby wstrząśnięty iskrą elektryczną.

— To prawda — zawołał — nie pomyślałem o tem!... a powinienem był o tem pomyśleć. Wyrzucał sobie, że o tem zapomniał. Wieczorem już był w drodze do Boulogne. Nie przestał sobie powtarzać aż do Amiens:

— Prawda! prawda! zapragnęła zobaczyć chorą córkę, syna cierpiącego; chciała ich pożegnać. Jak to

zrobiła? Jak się spotka z nimi? Powinienem był zaraz udać się w tę stronę i czekać na drodze jej powrotu! Byłbym jej przywiózł syna; może byłby mi przebaczył, to dziecko, którego jej zazdroszczę, tak dumne, tak pełne życia i honoru! Biedna matka!

Napróżno wysilamy się na heroizm, nigdy nie dosięgniemy uczuć macierzyńskich. Ja tylko myślałem o sobie, gdy sądziłem, że o niej myślę. Nigdy nie zaznamy poświęcenia, jeśliśmy żyli samotni, li tylko na to, aby być postrachem innej rodziny, nie umiemy pojąć ani uszanować świętych, wzniosłych uczuć. Pan de Rosey, ów człowiek prosty, ma szłuszność, matka nie ma prawa ani nie może zapomnieć siebie w obec żony obrażonej, w obec kochanki. Co tutaj znaczy pan de Moranes; tej kobiecie potrzeba własnych dzieci i będzie je miała. Czuję, że byłbym ją mniej kochał, gdyby nie była powzięła tej myśli poświęcenia się dla swych dzieci... Mnie poświęcić! Czemże ja jestem w jej życiu?... nawet nie godzinną przeszkodą, nawet nie wyrzutem sumienia, nawet nie zawadą! Ona mnie nie kocha; nigdy mnie kochać nie będzie, tak jak mnie dotąd nie kochała... To, co mi się w jej liście wyznaniem wydawało, było tylko łagodną wymówką, pociechą błahą, kłamstwem i wybiegiem, aby mnie zmylić, bym jej nie szukał na drodze prowadzącej ją do dzieci... Nie, nie, ona mnie nie kocha, nie może mnie kochać... Łatwo jej przyjdzie zgodzić się na to, co jej miałem zaproponować. Powróci do domu męża, pomimo męża, byleby żyć razem z dziećmi. Pan de Rosey ma słuszność, to jest zakończenie, zadość uczynienie z owej strony, owa konieczna rehabilitacja... ona nie potrzebuje za nic pokutować, nic naprawić. Ja sam byłem wiarołomcą ona była tylko ofiarą małżeńską...

W Amiens, gdy pan de Somery przesiadał się do innych wagonów, na kolei, która go aż do Boulogne zawieźć miała, pomału zmieniał myśli, i już nie miał ani tej dumy, ani szlachetności. Gdy się miał na nową próbę wystawić, zaczynał rozprawiać sam z sobą. Mogło przecież być podobnem, że pan de Rosey, człowiek uczuć czysto ojcowskich, które według kompasu obowiązku roztrząsał, mógł się mylić. Pani de Moranes zdecydowana na wyjazd może tak dalece nie była odważną, aby pojechać zobaczyć swe dzieci. Zresztą to krótkie widzenie było tylko bolesną radością, wszakże matka ani ich uściskać, ani do nich przemówić nie mogła.

Czy owa wielka męczennica chciała się wystawić na takie zadowolenie niebezpieczne? Czy nie obawiała się że osłabnie skoro się tak zbliży do tego widziadła szczęścia niepodobnego; gdy miłością swoją okaże dzieciom swe przywiązanie, czy to zmartwychpowstanie nie będzie więcej niebezpiecznem, czy ich wyrok nie będzie straszniejszym niż dwunastoletnia żałoba? Do samobójstwa się nie uciekła, bo nadto swoje cierpienie kochała, ale zdolną była do idealnego zniknięcia, chciała się poświęcić w cichości sama bez ostatniego spojrzenia na to, co opuszczała na wieki.

W ten to sposób, gdy pan de Somery zbliżał się do miejsca, gdzie mógł znaleźć panią de Moranes, wyszukiwał argumenta, mające go przekonać, że jej nie dogoni.

Skoro pan de Somery przyjechał do Boulogne późno w noc, to jest nad ranem, powziął myśl udania się do la Canche, widzenia się jeszcze z panem de Rosey i rozmówienia się z nim, ale obawiał się perswazji sędziego i chociaż pewien, że jedzie napróżno, udał się w dalszą drogę.

— Zresztą — mówił do siebie — przyrzekłem Ablowi de Moranes, że się stawię do jego dyspozycji. Żądałem od niego ośm dni zwłoki; będzie zadowolony, że skrócę termin. Jeżeli nie zobaczył matki, jeżeli nie starała się go widzieć, pozwolę sie zabić i wszystko będzie skończone. To rozwiązanie będzie równie dobrem, śmierć moja załatwi całą sprawę.

To ostatnie postanowienie było w gruncie rzeczy tylko rozpaczliwym wybiegiem, broniącym go od rozpaczy.

Pan de Somery najął powóz i nad samem ranem wyjechał w drogę do pałacu Moranów.

W czasie tej ostatniej podróży już nie myślał nic, nie robił żadnych przypuszczań, zasnął owym snem ociężałym, który nie dodaje sił ale przysposabia do gwałtownego ocknięcia.

W pewnem oddaleniu od pałacu, kazał się powozowi zatrzymać, wysiadł i odesłał konie, nie wiedząc wcale, co zrobi później, spuszczając się na igraszkę losu.

Szedł pieszo śmiało aleją wiodącą do pałacu. Jednak spoglądał bacznie na okół, jakby się spodziewał zobaczyć panią de Moranes, błąkającą się tutaj około tego domu, w którym płaczą jej dzieci.

Już tylko był o jakie pięćdziesiąt kroków oddalony od bramy pałacowej, gdy zobaczył człowieka, który się tam i na powrót przechadzał przed bramą, jakby wyczekiwał kogoś lub strzegł drogi i pałacu.

Pan de Somery obserwował z daleka ten posterunek i wkrótce poznał w nim Piotra, starego stangreta. Wiedział, że ten wierny sługa Moranów zostawał w ciągłych stosunkach z Wiktorją; że to on ułatwiał nieszczęśliwej matce sposobność dowiedzenia się o wszystkiem, co się tyczyło jej dzieci. To też pan de Somery pomyślał sobie zaraz, że przez niego dowie się, czy pani de Moranes tu przyjechała, w każdym zaś razie będzie mógł zapytać o Abla i widzieć się tutaj z nim, nie potrzebując pociągać za dzwonek i przejść bramę, która zdawała mu się być granicą; obawiał się ją przestąpić, by go na gorącym uczynku wiarołomstwa nie złapano.

Zbliżył się szybkim krokiem do stangreta.

Piotr spostrzegł go, nie mógł od razu poznać, przybrał postać nieufną, prawie groźną i stanął przed bramą pałacową wyprostowany, z zaciśniętemi pięściami, blady straszliwie, gotów prędzej śmierć ponieść, niż opuścić swoje stanowisko.

Pana de Somery przeniknął dreszcz podejrzenia, ale przypomniał sobie, że ten człowiek powinien go

nienawidzieć, to też za nim go się o panią de Moranes zapytał, chciał go wzruszyć, to jest udobruchać.

— Czy pan Abel de Moranes jest w domu? — zapytał go krótko z wyższością człowieka dystyngowanego, która zawsze służbie imponuje.

Piotr, drżący cały, a w chęci złożyć to na karb swego wieku, odrzekł z ukłonem:

— Tak panie.

— Powiedz mu, proszę, że życzę sobie z nim pomówić.

— Chętnie panie, kogo mam zaanonsować?

— Pana de Somery.

Chociaż to nazwisko było wypowiedziane półgłosem, odbiło się echem w głowie starego sługi. Obrócił się aby pójść do pałacu; zadrżał i zwrócił się nagle do pana de Somery z oczami pełnemi łez, przelękły i zarazem groźny.

— Pan tutaj!? — poszepnął.

— Czy ty mnie znasz? — zapytał pan de Somery nieustraszony.

— O znam! — odpowiedział Piotr drżąc mocniej, ale łagodniejąc.

— Więc zaanonsuj mnie, pan Abel czeka na mnie.

— Pan Abel.

— Tak.

Piotr nie ruszył się z miejsca, uspokoił się. Walka silna staczała się w nim, usta poruszyły się, chciał coś przemówić; biedny człowiek zrozumiał, że musi coś więcej powiedzieć niż zazwyczaj.

Gdy tak ciągle stał niepewny, niemy, pan de Somery powtórzył:

— Czy mnie zrozumiałeś?

— Tak, panie. To istotnie pana Abla chcesz pan zobaczyć?

Pan de Somery zarumienił się, ale odrzekł:

— Naturalnie.

— I... na cóż to?

Piotr pierwszy raz w życiu odważył się na tak śmiałe zapytanie.

— Pan Abel wie dla czego.

Stary sługa podniósł ręce drżące mu kurczowo i założył je na piersiach.

— Więc pan Abel zna pana?

— Bez wątpienia,

— Zna i oczekuje pana?

Tyle było obelżywego zdziwienia w spojrzeniu i w postawie Piotra, że pan de Somery wzruszony i zirytowany dodał żywo:

— Miałem się bić z nim przed kilku dniami... przychodzę stawić się do jego dyspozycji.

— Pan ma się bić z nim! zabić go! — zawołał stary stangret. — Ah panie! to niemożebne; nie spełnię pana zlecenia... zrób pan to sam jeźli się ośmielisz.

Pan de Somery postąpił naprzód. Piotr wstrzymał go.

— Strzeż się pan... pan baron mógłby pana spotkać... a gdyby nasza kochana panienka, że pan jest usłyszała... od dwóch dni jest bardzo chora... Ah panie! błagam pana, już dosyć nieszczęścia wniosłeś pan do tej rodziny!

— Przychodzę, aby wszystko naprawić — rzekł pan de Somery gwałtownie ale głosem słodkim.

— Naprawić wszystko, gdy się bić pan zamyślasz?

— A jeżeli przychodzę na to, aby mnie zabito!

Stary sługa, którego wyznanie pana de Somery wzruszyło, wyprostował się groźnie.

— Tutaj nie zabijają! tutaj umierają!

— Od ciebie Piotrze, zależy, żeby ten pojedynek nie odbył się.

— Odemnie?

— Tak odpowiedz mi na moje zapytanie: kiedy widziałeś panią de Moranes?

Piotr drgnął, jak przeszyty żelazem.

— Ale... — bełkotał.

— O! odpowiadaj mi prędko i szczerze; muszę ją wyszukać, mówić z nią!...

— Przybywasz pan za późno.

— Co odjechała! powiedz mi w którą stronę się udała, abym ją mógł dogonić!

— Nie odjechała.

— Więc powiedz mi, gdzie jest, abym ją tu napowrót przywiózł.

— Pan przywiózłby ją?

— Tak, jej córka jest bardzo chorą, nie prawdaż? Jej syn jest przepełniony smutkiem. Jeżeli się dowiedzą, że ich matka żyje, jeżeli ją odzyskają, pierwsza odzyska zdrowie, drugi ożywi się nadzieją.

— I pan byś to zrobił?

Piotr cofnął się i spojrzał na pana de Somery z śmiertelną obawą.

— Pan byś to zrobił? — powtórzył potrząsając głową.

— Tak.

— I to w tym celu, aby to poradzić pani de Moranes, chcesz pan ją wyszukać i widzieć się z nią?

— Tak.

Nowa walka zdawała się staczać w sumieniu Piotra. Spoglądał w około jak gdyby szukał wspólnika, a nie widząc nikogo, zmuszony sam zdecydować się na cośkolwiek rzekł, tłumiąc głos:

— A więc ona tu jest!

— A!

— I nie odjechała.

— Więc jest tam?

Pan de Somery wskazał na pałac ze złością i z boleścią, z pewnem rozczarowaniem i zazdrością.

Ona tam jest! nie był już więc tutaj potrzebnym; nawet nie będzie miał zasługi owego poświęcenia, przeciw któremu cała jego miłość się buntowała. Wszystko było skończone; ona tam jest!

Piotr uspokojony mówił dalej z zaufaniem.

— Gdy się dowiedziała, że panna Blanka, która ją widziała i poznała... ma gorączkę, febrę, nie miała już siły do oddalenia się... umieściłem ją, jak mogłem... w pawilonie tam w końcu, w głębi parku, po

za pałacem... Panienka jak jest zdrową, przychodzi tam czasem i rysuje... co do pana barona on nigdy jeszcze tam nie był... zresztą dziś właśnie w tej chwili... Pomimo tego, ja ciągle jestem na straży.. A! gdyby pan baron domyślił się tego!... od wczoraj każe mnie szpiegować, oto dla czego wyszedłem.

Pan de Somery ożywił się.

— Możesz mnie tam zaprowadzić?

— Tak panie, wejdźmy małą furtką... Ja tutaj czekałem na doktora; czatowałem, aby pójść przestrzedz panią, skoro tylko przybędzie, teraz już dłużej stać nie mogę. Chodź pan, chodź.

Piotr szedł naprzód, prowadząc pana de Somery tuż pod murem, doszli do małych drzwiczek, które zdawały się nie być otwierane od dawna. Chwast wyrwany około nich cokolwiek, bluszcz oberwany nad drzwiami, ślady oleju przy zamku dowodziły, że stangret starał się o to, aby mógł je łatwo otwierać.

— Zrobiłem to dziś w nocy — rzekł Piotr z dumą, wyciągając zardzewiały klucz z kieszeni, który włożył do zamka.

Drzwi zaskrzypiały i z trudnością dały się otworzyć. Przez noc mur się nad niemi oberwał.

Stangret przestraszył się tym hałasem.

— Gdyby usłyszano! — rzekł.

Drżał cały. Po minucie ostrożnego wyczekiwania, wszedł.

— Nie zamknę! — poszepnął — będziesz pan mógł łatwiej przejść; nie potrzeba się obawiać, aby tędy kto wszedł.

Znajdowali się w części parku, więcej jeszcze zaniedbanego niż inne. Zeschłe gałęzie zalegały ścieżki.

Doszli do pawilonu ośmiokątnego z dachem łupkowym, o oknach kończących się szpiczasto, otoczonych gzymsami; rodzaj małej kapliczki z ośmnastego wieku, z której zrobiono potem domek dla stróża, a którą pan de Moranes zupełnie zaniedbaną zostawił.

Okiennice zwykle zamknięte, poobrywały się teraz od wiatru i powykrzywiały. Mur opadał; poręcz żelazna przy schodkach była zardzewiała i chwiała się. Drzwi szklanne nie miały okiennic; deszcz, wreszcie kurzawa i słońce okryły szyby zasłoną tak gęstą, że firanka nie była potrzebną.

Pan de Somery zbliżał się ze ścieśnionem sercem, spoglądając z drżeniem na tę ruinę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIENNICZEK ZE ŚWIATA.

KATASTROFA.

We środę przed rozpoczęciem przedstawienia „Łucji" w teatrze w Nizzy wybuchnął pożar, który wszczął się skutkiem eksplozji gazu.

W chwili eksplozji wszystkie światła w całym budynku pogasły od razu i publiczność schodząca się dopiero na widowisko, została pogrążona w ciemnościach.

Energiczny ratunek nic tu nie pomógł — teatr zgorzał do szczętu, a pod zgliszczami jego znalazło śmierć około stu osób...

Wieczorem wydobyto z dymiących się ruin zwłoki 18 osób.

O godzinie 3-ej rano liczba ofiar znalezionych w murach spalonego teatru dochodziła już do 59.

Ofiary te należą przeważnie do klas robotniczych, bo loże i droższe miejsca jeszcze nie były zajęte.

Między innemi spalił się śpiewak basista Cotoin.

Śpiewaczce Biance Donadio udało się szczęśliwie ujść śmierci...

Impressario Strakosch, znajdujący się także podówczas w teatrze, uszedł z życiem lubo nie bez szwanku.

W Nizzy wzięto się natychmiast do zbierania ofiar na rzecz rodzin po zabitych w tej strasznej katastrofie, któraby była przybrała jeszcze groźniejsze rozmiary, gdyby eksplozja nastąpiła po rozpoczęciu widowiska, przy zapełnionym teatrze.

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC).

Dzienniki paryzkie wyszukały nową anegdotkę o starszym Dumasie.

Na początku smutnego roku 1871 schronił on się, blizki już śmierci, do wiejskiej posiadłości swego syna w Dieppe...

Zaledwie stanął na miejscu, natychmiast musiał się położyć do łóżka.

Gdy mu pomagano rozbierać się, wypadły z kieszeni jego kamizelki trzy sztuki złota i potoczyły się po dywanie.

Dumas, spostrzegłszy to, wybuchnął właściwym sobie serdecznym śmiechem:

— Gdym przed laty czterdziestu pięciu przybył do Paryża, miałem w kieszeni sto franków, przy końcu życia pozostało mi jeszcze sześćdziesiąt, i śmią mi zarzucać, iż byłem rozrzutnym...

TANIEC Z UMARŁYM.

Dzienniki genueńskie donoszą, iż w dniu 10. b. m., w godzinie południowej, przyzwoicie ubrany młodzieniec przez mur dostał się na nowy cmentarz i zaczął gorączkowo odkopywać mogiłę.

Po wydostaniu trumny zerwał wieko, pochwycił trupa i puścił się z nim w szalony taniec...

Widzieli to stróże, lecz zachowanie się tego nieznajomego napędziło im takiego strachu, iż nie śmieli mu przeszkadzać.

Jeden z nich pobiegł po policję, lecz gdy nieznajomy spostrzegł połyskujące w słońcu bagnety, z szybkością błyskawicy przeskoczył mur cmentarza i znikł w dali.

Widocznie był to szaleniec...

ZŁOTE WESELA.

W Krassowie odbyło się przed niedawnem dziesięć złotych wesel.

Najmłodszy z małżonków liczył lat 67, a żona jego 68.

Najstarszy dożył roku 83, a żona jego 86.

Jedno małżeństwo żyje już z sobą lat 59, jedno — 55, trzy — 53, dwa — 51, a jedno — 50.

Wszyscy małżonkowie dźwigają na swych barkach 754 lat a żony ich 758.

Ceremonji ślubu złotego dopełnił ks. Karol Karocsynyi, opat benedyktyński, poczem przemówił w obec całej gminy do sędziwych państwa młodych.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.